NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 85 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 20. listopada 1920. Nr 47.

Z chlubnych kart naszej dzielnej armii



Most kolejowy pod Grodnem na drodze pochodu armii jenerała Sikorskiego, wysadzony w powietrze przez uchodzących bolszewików.

Inwokacja!

Młodzianie, niedość mieć lekką rękę
Żniwiarz wśród łanu trafia w kąkole,
Często los radość zmieni w udrękę
I wówczas już każda róża zakole.
Wiedz, że miljonik niedole spłoszy,
Uzbieraj 1000! KUP szczęścia losy!!
A wtenczas młodej, nieznanej doli
Wrota się jarząc, z królewskim brzękiem
Odewrą, lunie grad złotem w trzosy.
Zwyciężysz, wygrasz! Nadejdzie kolej...
Młodzianie, wówczas lekką miej rękę...



Z chlubnych kart naszej dzielnej armii: Sekcya wykonawcza oddz. II. Dow. 3. armii przy pracy.



Z chlubnych kart naszej dzielnej armii: Jenerał ppor. Władysław Sikorski, dow. 3. armii, pogromca Budiennego.

Z chlubnych kart naszej dzielnej armii.

(Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście).

Pamiętamy z dawnych lat, jak pożądaną lekturą były dla każdego młodzieńca „Boje polskie“ Bodzanowicza. W późniejszych czasach miejsce ich zajęły arcydzieła Sienkiewiczowskie i śmiało można powiedzieć, że wielu z pośród obecnego pokolenia poprostu na nich uczyło się czytać, ale zarazem i żyć myślą, aby kiedyś wstąpić w ślady Wołodyjowskich, Skrzetuskich, Kmiciców lub Podbipiętów. Ten dobór lektury to stwierdzenie, że każdy Polak to żołnierz, a rycerska krew jego przodków płynie w jego żyłach i ożywia jego serce myślą o niepodległości Ojczyzny i przywróceniu Jej dawnego blasku i chwały.

I danem było młodemu pokoleniu, wychowanemu na tych ideałach, choć w obcej szkole, doczekać się tej szczytnej chwili, o której marzyli nasi Ojcowie i Dziadowie. Nadszedł rok 1914, a z nim wybuch wojny światowej, w której tragedya dziejowa kazała nam wziąć czynny udział, rozdartym na trzy części i stojącym nieraz brat przeciw bratu. Musieliśmy chwycić za broń w cudzej sprawie, ale sił i ducha dodawała nadzieja, że walczymy i za swoją.

Jak się nasz żołnierz wywiązał ze swego zadania, o tem wie świat cały, a przyznają mu to nawet wrogowie, którzy nie żałowali polskiej krwi i pędzili pułki polskie na najbardziej zagrożone placówki. Nie żałowano materyału ludzkiego, chcąc w ten sposób oszczędzić wybrane i uprzywilejowane „prowincye“. Szedł jednak nasz żołnierz naprzód z zapałem w sercu i pieśnią na ustach i dokazywał cudów waleczności.

To przecież Austryi nie pomogło. Ten sztuczny zlepek rozpadł się już w roku 1918, a na jego gruzach powstała między innemi i samodzielna i zjednoczona Polska.

I teraz rozpoczęła się w naszych dziejach nowa era. Wysiłki nasze jeszcze się nie skończyły, rozpoczął się dwuletni okres krwawych walk, ale tym razem już o swoją sprawę. Żołnierz nasz, choć zmęczony czteroletnią wojną i zdziesiątkowany, na duchu nie upadł, ale nowymi dowodami męstwa, zapału i bezgranicznego poświęcenia wprawił w podziw świat cały. Nowe liście wawrzynu okryły polskie sztandary, a do szeregu naszych narodowych bohaterów przybył nowy zastęp, którego się Sobiescy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Kościuszki i Poniatowscy z pewnością nie powstydzą.

Dla autora, który kiedyś zajmie się skreśleniem dziejów tych bohaterskich zapasów, otwiera się bardzo wdzięczne pole. Każdy z poszczególnych oddziałów ma już swą chlubną historyę, a w szeregach każdego znajdują się bohaterzy, których pamięć winna być podaną wdzięcznej potomności, bo to oni krwią swą i wysiłkiem sprawili, że mogliśmy się podnieść z upadku i zadać kłam wyrokowi zaborców, skreślającemu nas raz na zawsze z listy żyjących narodów.

Łamy naszego pisma są zbyt szczupłe, aby tym prawdziwie tytanicznym zapasom poświęcić tyle miejsca, na ile zasługują, a działalność naszych bohaterów przedstawić we właściwem oświetleniu, korzystamy przecież z każdej nadarzającej się sposobności, by oddać hołd zasłudze, wyrazić wdzięczność obrońcom, a młode pokolenie zachęcić do wstąpienia w ich ślady.

Dziś, gdy na kresach naszych panuje względny spokój, a dzielna armia nasza może swobodniej bodaj na chwilę odetchnąć i nabrać sił do czekających ją może już w najbliższej przyszłości nowych wysiłków, warto przecież zastanowić się nad jedną okolicznością. Co było powodem niepowodzeń militarnych Austryi, której większość obrońców przy musowych stanowili ci, tak chlubnie w dziejach wojny światowej zapisani?... Walczyli przecież również mężnie i z zapałem, bo oczywiście myślą, że tu chodzi i o ich sprawę. Rąk nie podnosili jak Czesi, przysiędze pozostali wierni do końca.

Odpowiedź łatwa, a daje ją jeden z wydanych w czasie wojny numerów monachijskiego „Simplicissimusa“, przedstawiający jenerała austryackiego bez głowy, oficera z głową osła, żołnierza z głową lwa. Satyra bardzo dotkliwa, tem bardziej, że wyszła nie od wrogów, lecz od „sojusznika“.

Zastępy lwów, prowadzone przez bezpośrednich





Z chlubnych kart naszej dzielnej armii:

Podpułk. Władysław Bortnowski, szef sztabu jen. 3. armii.

Major szt. jen. Dr Antoni Jakubski, kwatermistrz 3. armii z swym adj. por. Wesołowskim.



Z chlubnych kart naszej dzielnej armii. Oddział IV. sztabu Dow 3 armii Siedzą: w pośrodku kwatermistrz major szt. jen Dr Jakubski, po prawej stronie szef Oddz. IV. kpt. Janiszewski i adjutant por. Wesołowski — po lewej: szef Sekcyi ogólnej kpt. Dr Izdebski i referent Oddz. IV. kpt. Tobik.

dowódców — kłapouchów, a kierowane przez ludzi „bez głowy“, nie potrzebnie lały swą krew i targały siły. Ich bohaterskie wysiłki pod takiem kierownictwem musiały się skończyć katastrofą. Wymowną ilustracyą tego militarnego „bezhołowia“ jest rozkaz szarży kawaleryi polskiej na rowy strzeleckie pod Rokitną, wydany przez austryackiego sztabowca, który widocznie chciał się zabawić w Napoleona, ale do jego roli nie dorósł.

Stosunek między żołnierzem a oficerem, oddzielającym się od tamtego chińskim murem, pozostawiał też już nazbyt wiele do życzenia.

Wszystko zmieniło się z chwilą, gdy żołnierze nasi stali się armią polską. Na ich czele znaleźli się odrazu ludzie „z głową“, ale też i ze sercem, którzy w żołnierzu widzieli towarzysza broni, oddanego ich opiece i kierownictwu. Między dowódcą a podwładnymi wytworzyło się serdeczne współżycie ludzi, zdanych na wspólność doli i niedoli. Na rozkaz wodza żołnierze gotowi byli pójść w ogień piekielny.

A rozkazy te nie były wydane bez głębokiej rozwagi, czy osiągną pożądany skutek. Nasi dowódcy od najwyższych do najniższych stwierdzili dowodnie, że rozumieją swe odpowiedzialne stanowisko i nadużywać go nie myślą.

Pokazało się także, że nie trzeba się urodzić w domu panującym, lub przejść wszystkie szczeble hierarchii wojskowej, aby nabyć zdolności strategicznych, których do głowy pałka nie wleje, zwłaszcza, jeśli tej głowy brak!... Nawet ludzie, nie mający za sobą fachowych studyów wojskowych, stwierdzili czynem, że każdy Polak urodzony jest do rzemiosła wojennego i na polu walki jest w swym żywiole.

Dowódca w jednym szeregu z żołnierzem, a nie o kilkadziesiąt lub więcej kilometrów za frontem, to też czynnik, który musiał wpłynąć dodatnio na postęp naszych operacyi wojennych.

Armia, od Naczelnego Wodza począwszy, na szeregowcu skończywszy, uważa się za jedną rodzinę i dlatego wspólnemi siłami takich może dokazywać cudów, które w podziw wprawiają świat cały.

Czego może dokonać męstwo i zapał żołnierza, zostającego pod kierownictwem ludzi „z głową“, ale i ze sercem, tego dowodem krótkie zestawienie działalności wojennej bawiącego obecnie w Krakowie na urlopie jenerała Władysława Sikorskiego. Jest to tylko pobieżne i lakoniczne zestawienie faktów i to zaledwie z przeciągu bieżącego półrocza, a przecież mówi samo za siebie, aż nazbyt wiele, a osobę dowódcy, ostatnio trzeciej armii, stawia w jednym szeregu z największymi bohaterami naszego narodu.

Informator nasz, sam żołnierz z pod znaków jen. Sikorskiego powiada, co następuje:

„Znany jest ze swojej działalności bojowej w chwilach pierwszego tworzenia się armii polskiej, prawie, że pod kulami wrogów, jenerał Sikorski zwycięzca z pod Bartatowa, obrońca Gródka Jagiellońskiego, dowódca grupy, operującej na krwawym szlaku wschodniej Małopolski, a później dowódca 9 dyw. p. i grupy poleskiej.

O czynach jego bojowych nie potrzeba wspominać, gdyż każdy komunikat przynosił nam nową wieść o świeżych laurach żelaznego jenerała.

Gdy w chwili pękania frontu pod przemocą nawały bolszewickiej, cofał się spokojnie wzdłuż kolei Możyrz—Kalenkowicze—Pińsk—Brześć Litewski, odgryzając się krwawo napierającemu wrogowi, niejednokrotnie sam na czele walczących oddziałów prowadził ataki. Bohaterska grupa poleska zostaje przekształcona w armię 5-tą i otrzymuje szczytne zadanie obrony Warszawy od północy, a następnie uderzenia w kierunku Mławy, odcinając w ten sposób odwrót pięciu dywizyom bolszewickim, mającym zadanie zajęcie Torunia i odcięcie Polski od jej krtani — od Gdańska.

Nowe zwycięstwa i całkowity pogrom nieprzyjaciela wzbudziły podziw całego świata, a przedewszystkiem naszych sprzymierzeńców Francuzów, którzy nie znajdowali słów podziwu dla talentu tak wybitnego jenerała. Nie koniec jednak na tem. Hordy Budiennego uderzają na Lublin, niszcząc i paląc każde miasto, każdą zagrodę, która miała



Z chlubnych kart naszej dzielnej armii: Szefowie Oddziałów i Służb Dowództwa 3. armii ze swym dowódcą jenerałem ppor. Władysławem Sikorskim.





Z chlubnych kart naszej dzielnej armii:

Szef służby łączności 3. armii major Wallner, dekoruje krzyżem „Virtuti Militari“ dwóch swych podkomendnych: pchor. Młynarczyka i sierż. Janochę.

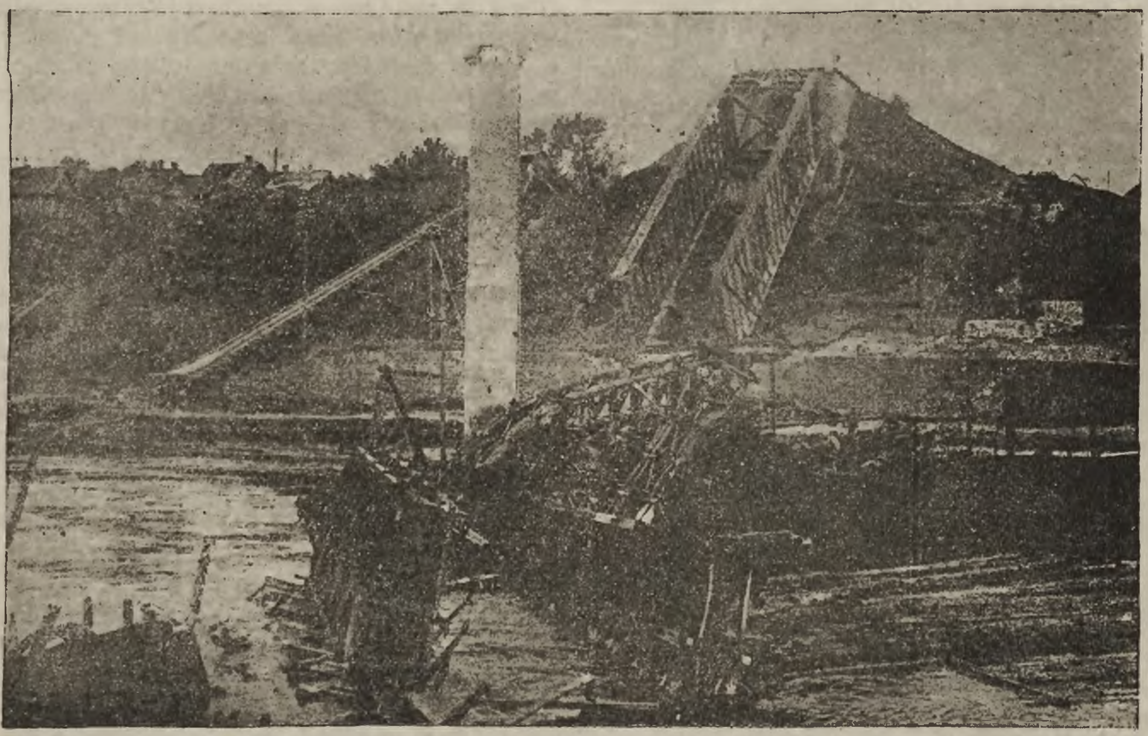
Oddział motocyklowy Dow. 3. armii.

nieszczęście stać na czarnym szlaku, osławionej armii konnej.

I wtenczas z rąk Naczelnego Wodza otrzymuje rozkaz zlikwidowania tak niebezpiecznej dla nas akcyi. Obejmuje armię 3-cią, gdzie z takimi pomocnikami jak podpułk. szt. jen. Władysław Bortnowski, jego szef szt. jen., major szt. jen. dr Jakubski jego kwatermistrz, wyzwala z pod najazdu bolszewickiego szmat ziemi polskiej od Chełma aż po Dubno—Równo, oddając go z powrotem pod panowanie Rzeczypospolitej.

W trakcie tej tak żmudnej, a tak owocnej pracy, spotyka go najwyższa dla żołnierza-wodza nagroda, krzyż „Virtuti Militari" 5-tej klasy za osobistą odwagę, który otrzymuje z rąk Komendanta, stojąc w jednym szeregu z żołnierzami swej tak ukochanej 9-tej dywizyi piechoty.

Obecnie jen. Sikorski bawi na urlopie, z którego nie korzystał od listopada 1918 r., nabierając sił do dalszej pracy dla dobra Ojczyzny".



Z chlubnych kart naszej dzielnej armii: Most kolejowy na Niemnie, przy którym armia jenerała Sikorskiego stoczyła zażarte walki z bolszewikami.

Na polu chwały.

Nareszcie po tylu latach oczekiwania umilkł szczęk broni, zawarty został rozejm, którego następstwem będzie w niedługim czasie zawarcie pokoju.



Na polu chwały: S. p. Zdzisław Gawin Niesiołowski, porucznik 9. pułku ułanów.

Jednak pokoju tego nie wszyscy będą zażywać i nim się cieszyć. Są to ci, którzy walcząc z bronią w ręku w obronie granic Rzeczypospolitej, padli, kładąc młode swe życie w ofierze.

Jednym z takich jest porucznik 9. pułku ułanów Zdzisław Gawin Niesiołowski.

Po ukończeniu szkół średnich w Tarnowie wzięty został w 1916 r. do austryackiego 3. pułku strzelców konnych, gdzie, okazując wielkie zdolności wojskowe i zyskując przyjaźń i uznanie kolegów i przełożonych, dosłużył się stopnia oficera, przechodząc ciężkie walki na froncie rosyjskim, rumuńskim i włoskim. Po rozpadnięciu się Austryi wraca w zimie 1918 r. z frontu włoskiego do kraju, gdzie zaciągnąwszy się w szeregi 9. pułku ułanów, dzieli z pułkiem tym złą i dobrą dolę, przechodząc z nim wszystkie walki zrazu na froncie ukraińskim w Galicyi, a potem bolszewickim. I teraz dopiero w szeregach jazdy polskiej zdolności wojskowe i talent tego młodego wiekiem oficera, lecz doświadczeniem dorównywującego starym żołnierzom, zajaśniał w całej pełni. To też w krótkim czasie potrafił sobie zaskarbić uznanie i szacunek u przełożonych, a miłość i przywiązanie u kolegów i żołnierzy. Zawsze wesoły i uśmiechnięty, w najcięższych nawet chwilach potrafił zmusić kolegów i podwładnych do nabrania otuchy i humoru.

Łatwo też zrozumieć bólość i żal, które owładnęły sercami wszystkich, gdy w szarży na armię Budiennego pod Komarowem 30 lipca powrócił II. szwadron 9 pułku ułanów bez swojego dowódcy, który padł, jak na prawego Polaka-ułana przystało, na czele swego oddziału, przeszyty kulą bolszewicką.

Ciało, przewiezione do Tarnowa, odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku dnia 4 sierpnia, prócz złamanej tym ciosem rodziny, dwa konne szwadrony 1. pułku ułanów Krechowieckich i 3. p. strzelców konnych, dając tem dowód żalu nad utratą tak dzielnego oficera.

Nad otwartą mogiłą pożegnał ś. p. Zdzisława jego katecheta, imieniem kolegów pułku rotm. Komorowski.

I po raz ostatni zagrały mu trąbki tę prostą i tęskną jak dola ułańska piosenkę:

„Śpij kolego w zimnym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie"...





Z chlubnych kart naszej dzielnej armii: Naprawa mostu kolejowego pod Grodnem, zniszczonego przez hordy bolszewickie.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

18

— Czy można dopędzić ten powóz? — zapytała Heliana, przejmując się wzruszeniem swoich towarzyszów.

— Który?

— Ten, który znajduje się teraz o pięć powozów przed nami — rzucił niecierpliwie Robert.

— Zaobserwuj go dobrze Ludwiku! — rozkazała Heliana.

— To niemożliwe, Ekscelencyo — zauważył sztangret, potrząsając głową — trzeba jechać w rzędzie i policyanci nie zechcą mnie przepuścić.

— Przerwij rząd!

— To nie jest dozwolone!

— A czyby nie można okrążyć i spotkać się z nim z frontu — nalegała jeszcze Heliana.

— Ekscelencyo, możemy skręcić w tę boczną ulicę, tutaj na prawo i wyjechać na jego spotkanie przez San Lorenzo in Lucina.

— Czy nie będziemy okrążać za długo? — zapytał Robert, drżąc z niecierpliwości.

— A jeżeli powóz nam umknie? — wtrącił Ranieri. — Jeżeli skręci, w boczną ulicę, podczas kiedy my zjedziemy z głównej ulicy.

— Eh! zaryzykujmy! — rzuciła żywo Heliana. — Nie stracimy wiele na tem! I tak już straciliśmy ich zupełnie z oczu.

— A więc skręcę? — zapytał sztangret.

— Skręcaj, bylebyś okrążył tę ulicę w minutę!

Sztangret ruszył lejcami i konie znalazłszy się na pustej, bocznej ulicy, pomknęły galopem.

W powrocie Heliany zaległo zupełne milczenie. Młoda kobieta poruszona była bardzo silnie tą tajemniczą awanturą i drżała z ciekawości, by doczekać się jej rozwiązania. Kiedy wyjechali z ulicy Lucina i stanęli na rogu Corsa przy Klubie Beruini, Robert spojrzał na zegarek. Upłynęło zaledwie cztery minuty od ruszenia powozu z głównej ulicy.

— Powóz widma napewno jeszcze nie przejeżdżał? — odezwała się Heliana Love, śmiejąc się nerwowo.

— Tak, to niemożliwe!

— To niemożliwe! — powtórzył Ranieri.

— Chyba, że zboczył w poprzeczną ulicę — dorzucił sztangret.

Wszyscy z niecierpliwem oczekiwaniem wpatrywali się w głąb Corsa. Powozy przesuwały się powoli, ale „powozu „widma" widać jeszcze nie było.

— Wytłómaczcie sztangretowi co ma czynić w razie ukazania się powozu — zwróciła się Heliana do Roberta.

— Luigi! — rozkazał młody człowiek — stać będziesz na miejscu, póki się powóz nie ukaże, a potem postarasz się jechać tuż za nim.

— Dobrze, ekscelencyo — odpowiedział stangret.

Ranieri w milczeniu obserwował ulicę.

— Nareszcie! szepnął w pewnej chwili.

— Uwaga! — zawołała Heliana.

— Nie wychylaj się zanadto Heliano, nie ruszaj się — szepnął Robert drżącym głosem.

Powóz widma posuwał się powoli, idąc na ich spotkanie. Czarne domino, małe, może garbate, siedziało bez ruchu, natomiast zaś domino białe stało wyprostowane, patrząc przed siebie.

Powóz zbliżał się coraz więcej i kiedy przejechał tuż obok viktoryi Heliany, małe, czarne domino zwróciło się twarzą ku młodym ludziom i poprzez otwory maski utkwiło w nich przenikliwe spojrzenie.

Robert i Ranieri doznali obydwaj jednakiego wrażenia, „uczuli" spojrzenie zimne, błyszczące jak stal, przeszywające ich do głębi.

— To on! — szepnął Lambertini.

— Tak, to on — powtórzył za nim Robert.

— Czy jest to to, czegoście poszukiwali? — zapytała niecierpliwie Heliana, podczas kiedy powóz posuwał się powoli za powozem kobiety biało ubranej.

— Tak — odparł głucho Ranieri.

— A więc romans prawdziwy! — zawołała z zadowoleniem młoda kobieta.

Domina tymczasem nie odwracały się wcale, jakgdyby nie zdając sobie sprawy, że ktoś je śledzi. Kobieta stała wyprostowana, zmartwiała w pozie kamiennego posągu, mały, skulony człowiek zaś siedział wciśnięty w róg powozu.

— Czy to naprawdę on? — szepnął Ranieri, jakgdyby samemu sobie zadawał to pytanie.

— Gdyby on chciał się zwrócić trochę w naszą stronę — wyrzekł cicho Robert.

— Poczekajcie! — zawołała Heliana, która dosłyszała te słowa — uczynię tak, że zwrócić się musi.

Wzięła z siedzenia kilka ciężkich kwiatów



Heliana bez przerwy zaczęła bombardować białe domino kwiatami.

i rzuciła je zręcznie do powozu. Ale żadna z osób, w nim siedzących, nie poruszyła się.

— Uparci! — krzyknęła ze złością. — Czy sądzicie, że się zniechęcę.

Pochwyciła większą wiązankę i rzuciła ją z całej siły.

— Nie! to nie do zniesienia — mruknęła wściekle, kiedy i ten pocisk przeszedł bez skutku.

— Staraj się dotknąć kobietę — rzucił nerwowo Robert, który z zajęciem śledził jej ruchy.

— Czy kobieta interesuje cię także?

— Nie... ale może przez nią dotrzemy do celu...

Heliana bez przerwy zaczęła bombardować białe domino kwiatami. Na szczęście powóz jej był jeszcze dobrze zaopatrzony w kwiaty.

Nareszcie po dłuższej chwili walki kobieta odwróciła głowę. Znajdowali się od tej chwili na placu Colonna, tonącym w jasnem, oświetleniu lamp elektrycznych. Kobieta, owinięta w płaszcz biały, obrzuciła długiem spojrzeniem Helianę. Spojrzenie jej było dumne, smutne i łagodne. Stłumiony okrzyk wybiegł z piersi Ranieri'ego, Robert zaś siedział, poruszony do głębi dziwnem jakiemś uczuciem.

— Co ci jest Ranieri — zapytał wzruszonym głosem, zwracając się do przyjaciela.

— Oh! Boże! — szepnął młody człowiek. — To są oczy Racheli!... to jest jej spojrzenie!

— Czy sądzisz, że to ona?

— Nie wiem... nic nie wiem... ten człowiek... ona z nim... to niemożliwe!... ona jest w domu, u siebie... jestem tego pewnym... ale ten wzrok, te oczy...

Tymczasem, kobieta biało ubrana odwróciła się w inną stronę, automatycznym, sztywnym ruchem.

— Czy to ona? Boże mój! czy to ona!? — szeptał Ranieri, poruszony do głębi.

— Chodźmy przekonać się! Zejdźmy z powozu i podejdźmy pieszo — zaproponował Robert, niemniej wzruszony od przyjaciela.

— Nie! nie! stracilibyśmy ich z oczu. Jedźmy lepiej ciągle za nimi i przekonajmy się, gdzie się zatrzymują. Potem wypytamy sztangreta lub dozorcę domu.

Heliana Love nie słyszała tej narady. Widziała tylko, że obydwaj młodzi ludzie byli silnie zdenerwowani.

— Czy mam jeszcze rzucać kwiaty? — zapytała z pobłażliwym uśmiechem.

— Tak — szepnął machinalnie Robert.

Zaczęła więc rzucać wszystko, co jej pod rękę podpadło. Kiedy kosze wypróżnione już zostały, zdzierała girlandy przystrajające powóz. Ale wszystko napróżno! Mały czarno ubrany człowieczek i kobieta, stojąca nadal w powozie, zapadli w poprzednią nieruchomość. Heliana i jej towarzysze stali teraz na przedniej ławeczce powozu. Nikt jednak w tym kończącym się dniu karnawałowym uwagi na nich nie zwracał.

Corso zresztą opróżniało się już teraz. Powozy przejeżdżały szybciej, kierując się ku Weneckiemu placu.

W pewnej chwili, Robert Alimena znalazł się jednym skokiem przy sztangrecie na koźle i pochwyciwszy ostatnią wiązankę białych róż, rzucił je na kobietę zamaskowaną. Rzut był celny Wiązanka dotknęła z tyłu szyi kobiety. Odwróciła się powoli. Uczyniła potem ruch dziwaczny, jakgdyby chciała zrzucić z siebie płaszcz, ciążący na jej ramionach i prawą ręką rzuciła kwiat Robertowi, obdarzając go przytem spojrzeniem ciemnych, smutnych oczu. Ale prawie natychmiast człowiek w czarnej masce podetwał się z siedzenia, pochwycił ją za ramię i w brutalny sposób zmusił do zajęcia miejsca. Podczas kiedy Robert oszołomiony wypadkiem podnosił kwiat, rzucony mu przez kobietę, a była to orchidea o dziwacznym kształcie i zabarwieniu, Ranieri obserwujący dalej tajemniczą parę, wykrzyknął nagle.

— Boże mój! Ta kobieta ma tylko jedną rękę!

— Co ty mówiszl? jedną rękę!? Jakże to mogłeś spostrzedz — zawołał Robert, blednąc silnie.

— Widziałem, tak, jak ciebie widzę! — odparł Ranieri z żywem podnieceniem. Ta kobieta ma oczy mojej Racheli i jedną rękę uciętą! Przysięgam ci, że się nie mylę!

— Luigi! — rozkazała energicznie Heliana, podniecona również wzruszeniem swoich towarzyszów. Pospiesz szybko za tym powozem. Gotowi są nam uciec!

Rzeczywiście powóz, wiozący zamaskowaną parę pospieszał teraz i w szybkim pędzie przejechał przez plac Wenecki, kierując się w stronę ulicy Narodowej. Zdawało się, że chcieli ustrzedz się przed pogonią. Czarno ubrany człowiek musiał w tym względzie wydać rozkaz sztangretowi, bo przedział pomiędzy obydwoma powozami stawał się się coraz znaczniejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

21

I.

Gawlik przestraszył się. Tego samego dnia, za parę godzin, miał podpisać w kancelaryi adwokata kontrakt z dyrekcyą przedsiębiorstw budowlanych, obowiązujący go do dostarczenia większej ilości drzewa w najkrótszym terminie. Na drzewie zaś, zakupionem u Golda, zarabiał wraz z Kręckim, który poprzednio miejsce zbytu mu wskazał, pokaźną sumę. Gdyby teraz Gold zrzucił się ze sprzedaży, jego zysk cały byłby stracony, bo na razie innego drzewa przedsiębiorstwu dostarczyć by nie mógł.

— Ależ panie Gold — zwrócił się do kupca — dlaczego pan tak wszystko gorąco bierze. Wcale nie zamierzam zwlekać z ukończeniem sprawy. Dziś jeszcze, tak jak panu mówiłem, interes ubity zostanie. Za godzinę najdalej wrócę tu z zadatkiem — dodał, powstając szybko i dając ręką znak płatniczemu. Czy panowie tu zaczekają na mnie?

— My u adwokata na Grodzkiej będziemy czekać na pana — odpowiedział Gold.

— A potem pojedziemy obejrzeć drzewo. Nie bardzo mi to na rękę — rzekł Gawlik, bo dziś mam do załatwienia dwie jeszcze sprawy, ale skoro to jest konieczne.

— Konieczne — potwierdził Kręcki z naciskiem...

— Gdzież to więc mamy jechać? — zapytał Gawlik. — Mówił pan, że drzewo jest w Dębicy.

— Trochę dalej — uśmiechnął się Gold. — Ale panu to już wszystko jedno, czy jedna, czy dwie stacye dalej. Ja panu powiem po drodze, bo teraz nie mam czasu — rzucił już na wychodnem. — Więc niech pan pamięta. Czekam na Grodzkiej.

Gawlik z Kręckim wyszli razem z kawiarni.

— Nie dziwiłbym się wcale, żeby to drzewo było mokre i może gdzie pod Przemyślem — odezwał się Kręcki, kiedy się znaleźli na ulicy.

— Co też pan mówi — zaniepokoił się Gawlik. — Dyrekcya mokrego nie przyjmie. Dlaczego więc, jeżeli pan tak przypuszcza, nie oponował przeciw podpisaniu umowy? Możemy wpaść w brzydką sytuacyę.

— Pan podpisze umowę z dyrekcyą i weźmie zadatek — odparł Kręcki tonem, niedozwalającym opozycyi. — Część zadatku odciągniemy na nasz procent, a Goldom pan powie, że resztę zadatku da mu pan po obejrzeniu drzewa...

— A jeżeli drzewo okaże się niedobre, to zadatek dyrekcyi zwrócić musimy.

— Pan jeszcze jest bardzo naiwny — zaśmiał się Kręcki. — Oczywiście, że jeżeli drzewo będzie niemożliwe, to pan zadatek zwrócić musi — dodał z naciskiem.

— Ja? — przestraszył się Gawlik.

— Zapomina pan, jak widzę, o naszej obopólnej umowie — odparł zimno Kręcki. — Ja panu dostarczyłem solidną firmę, która chce przez pana zakupić drzewo. Któż więc będzie winien, jeżeli okaże się, że żydzi pana podeszli — Ja? czy pan? Żydów tych pan sam wyszukał. Należało jeszcze przed umową z dyrekcyą przekonać się, jaki towar dają. Pan tego nie zrobił. Czas nagli, bo i Goldom śpieszy się i dyrekcya terminowo potrzebuje dostawy. Więc teraz niema wyjścia innego. Musimy zaryzykować. Umowy spisać, a potem radzić, jeżeli zajdzie tego potrzeba. To znaczy, albo pan zwróci zadatek, albo też przydusi pan żydów, ci opuszczą panu jeszcze coś z ceny, jeżeli rzeczywiście drzewo jest za mokre do wyrobu. Zresztą — dodał Kręcki pozornie obojętnym głosem — od pana zależy, aby dyrekcya przyjęła dostawę jakąkolwiek by ona była. Różne są na to sposoby, aby z czarnego białe zrobić. Gra warta świeczki. A teraz żegnam pana. Jutro wieczorem czekać będę w kawiarni.

— — — — — — — — — — — — — —

W parę godzin później, Gawlik zdenerwowany, zmęczony, trzęsącym, żydowskim wózkiem wlókł się po wyboistej drodze, prowadzącej od małej stacyi, do miasteczka, znajdującego się pod Tarnowem.

W samej chwili odjazdu na dworcu krakowskim, stary Gold zapadł się jak pod ziemię i tylko syn jego Jakób towarzyszył Gawlikowi w podróży.

Kiedy dojeżdżali już do ostatniej stacyi, gdzie wysiąść mieli, deszcz padać zaczął ulewny.

Gawlik wściekły, owinięty w podróżny płaszcz, kląć zaczął, wymyślając swojemu towarzyszowi.

— No, co ja winien — bronił się apatycznie żydek. — Panu zachciało się drzewo oglądać. Obydwaj tylko czas napróżno tracimy. Czy ja zamówił deszcz na tę drogę? Żebyśmy chociaż na furmankę trafili na stacyi.

Z wielkim trudem udało im się złapać wó-



— To jest to drzewo, co pan kupił — wskazał ręką młody Gold — Za takie małe pieniądze ma pan takie piękne drzewo. Interes jak złoto.

zek żydowski, zaprzągnięty w dychawiczną, ledwie wlokącą się szkapę. Siedzenie wypchane przegniłemi grochowinami, nakryte było starym, podartym workiem.

Wlekli się już tak prawie godzinę, a jakoś miasteczka ani żadnych zabudowań widać nie było.

Zanim wsiedli, młody Gold poszwargotał coś z furmanem, ale tego, co mówili, Gawlik dosłyszeć nie mógł.

Deszcz na szczęście nie był już tak gwałtowny, zamienił się pomału w drobny, gęsty kapuśniaczek, przenikający ubranie wilgocią.

— No, cóż? daleko jeszcze mamy? zapytał w pewnej chwili Gawlik, wychylając twarz z nastawionego kołnierza płaszcza.

— Jeszcze trochę — odpowiedział znudzonym, monotonnym głosem młody Gold.

— Coś dyabelnie daleko do tego tartaku — mruknął Gawlik podejrzliwie.

Żydek uśmiechnął się tylko i nie odpowiedział.

Po jakimś czasie wózek skręcił z głównej drogi na polną ścieżkę między zbożami. O kilkadziesiąt kroków zamajaczyła przed Gawlikiem ciemna linia lasu.

— Co to znowu? — rzucił już gniewnie rozglądając się po okolicy. — Gdzie mnie pan wieziesz?

— Ja wiozę pana do lasu — odparł obojętnie żydek.

— Do lasu? I tam ma być moje drzewo?

— W lesie zawsze jest drzewo.

Gawlik aż podskoczył na siedzeniu. Teraz już wiedział, że żydzi wywiedli go w pole i że cały interes, na który tak liczył, przepadł na dobre.

— Więc to ma być to drzewo suche, coście tak z ojcem zachwalali — oburzył się. — Ależ to łajdactwo prawdziwe! Ja suche drzewo kupiłem i suche odstawić muszę, rozumiesz pan? — szarpnął młodego Golda za ramię. — To jest oszukaństwo, złodziejstwo. Zadatek wzięliście, co? Ale ja go wam z garhła wydrę, do policyi dam znać.

— Czego się pan szarpie — syknął żydek, odsuwając się przezornie. — Czego pan chce odemnie? Ojciec mi kazał panu drzewo pokazać, to ja pokazuję. A że ono trochę mokre może być, to i co? wysuszy się?

— Wysuszy się, jak ja go już w przyszłym tygodniu odstawić go muszę...

— No to pan nie odstawi, bo ono jeszcze nie ścięte!

— Co? nie ścięte! — ryknął na cały głos Gawlik, siny z wściekłości. — Nie ścięte! To czego mnie pan tu wiezie! Dlaczego nie powiedzieliście mi tego w Krakowie!? Co ja teraz zrobię! Co ja teraz zrobię! Kpiny sobie ze mnie robią przeklęci żydzi! Ale ja was nauczę rozumu! Jakiem żyw nauczę!

Dojeżdżali już właśnie do lasu. Wysmukłe, rosłe sosny stały gęstym, zbitym rzędem, kołysząc się majestatycznie wierzchołkami pod naciskiem wiatru. Ostra, żywiczna fala płynęła od nich, zmieszana z wilgotnym zapachem ziemi, poruszonej przez deszcz.

— To jest to drzewo, co pan kupił — wskazał ręką młody Gold. — Za takie małe pieniądze, ma pan takie piękne drzewo. Interes jak złoto.

— Nawracaj! — huknął Gawlik ochrypłym głosem. — A to psubraty! — rzucił przez zęby, dygocąc z wściekłości.

Przez całą drogę powrotną nie odezwał się już ani słowem. Wiedział, że teraz już nic go z tej sytuacyi, w jaką wpadł lekkomyślnie, nie wyprowadzi. Jasnem było, że żydzi oszukali go jak najhaniebniej.

Młody Gold, zapięty szczelnie w ciepły, gruby płaszcz, zdawał się drzemać. W duchu czuł się zadowolonym, że cała sprawa zakończyła się w ten sposób. Kiedy wyjeżdżał z Krakowa, lękał się trochę gniewu i wściekłości Gawlika. Ale kiedy on już teraz nic nie gada, to widać dobrze... Namyśli się przez drogę i drzewo jakie jest, weźmie. A jak nie weźmie, to i tak zadatek przy nich zostanie, bo chyba Gawlik nie taki głupi, żeby w tę sprawę mieszać policyę.

Noc już była, kiedy Gawlik zgłodniały, zziębnięty dzwonił do swego mieszkania. Zjadłszy na prędce podaną przez Franciszka kolacyę, położył się, ale do rana oka zmrużyć nie mógł.

Po pierwsze niepowodzenie uderzyło go jak obuchem w głowę. Wściekły był na Kręckiego, że umiał się urządzić w ten sposób, że cała odpowiedzialność za nieudały interes spadła tylko na niego.

O tem, żeby dyrekcya przyjęła takie drzewo, mowy być nie mogło. Należało pójść tam nazajutrz, zwrócić zadatek, którego jedną część już odłożył dla Kręckiego i oczywiście całą sumę wyłożyć z własnej kieszeni, bo ani Gold, ani Kręcki od swojego odstąpić nie zechcą.

Słońce już zeszło i ruch zapanował w całej kamienicy, kiedy Gawlik zbity, bezsilny zasnął na parę godzin.

Kiedy się obudził, głowa ciążyła mu nieznośnie i w całem ciele czuł niemiłe znużenie.

Spojrzał na zegarek, dochodziła już godzina dziesiąta.

Zadzwonił na Franciszka i kazał mu prędko przynieść śniadanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

26

— Nie będę nim więcej.

Delikatna woń jej włosów doleciała go teraz, kiedy był tak blisko.

— Nie będę nim nigdy!

Trzymał ją i podczas gdy ją trzymał, słuchał nubijskich żeglarzy i wyrazu, który prawie nigdy nie schodził z ich nieznużonych warg:

Al lah! — Al-lah! — Al-lah!

Bóg był tutaj w nocy, nad wielkim, tajemniczym Nilem, który płynie z dalekich źródeł w dzikiej krainie, Bóg czuwał nad niemi — nad nim i nad Ruby.

Miał prostą, dziecinną wiarę w Boga, który wie o każdej jego myśli, każdym jego czynie. Tysiące ludzi mają tę wiarę i tysiące kryją się z nią, jakby się ukrywali z grzechem. Obawiają się własnej prostoty.

Wola Boża, czy nie była dla niego widoczną? Myślał teraz, że tak. Oto powinien podnieść w tej kobiecie ufność w istniejące dobro, przez nienaruszoną wiarę w dobro, które istnieje w niej, nie zachwiać tej ufności, jak zachwiał dziś.

Nienawidził siebie, za to, że ją zranił i nie nawidząc siebie, tem więcej zaciskał swe silne ramiona w koło niej, jakby chcąc fizycznie jej okazać postanowienie, które uczynił.

A nubijscy żeglarze nie ustawali w śpiewie. Dla niego śpiewali o Bogu.

Dla niej — o Mahmond Barondi'm.

XV.

— Co znaczy ten arabski napis, Mahmoud Barondi? — rzekła Mrs. Armine następnego popołudnia, stojąc z nim i ze swym mężem na dolnym pokładzie Lonlii przy paru stopniach, prowadzących do wielkich drzwi, które oddzielały rząd kajut od strony, zamieszkałej przez nubijskich żeglarzy. Drzwi były białe ze złotemi rzeźbami, a nad niemi widniał napis także złotemi literami:

— Wygląda tak znacząco, że chciałabym wiedzieć, co przez niego rozumieć — dodała.

— Wyjęty z Koranu, Madame.

— I znaczy?

Utkwił w nią swe wielkie oczy.

— Przeznaczenie każdego człowieka jest przywiązane u jego szyi.

— Przeznaczenie każdego człowieka jest przywiązane u jego szyi — powtórzyła zwolna. — A więc to jest motto Lonlii!

Stała cicho, patrząc na kabalistyczne znaki, pod któremi miała przejść.

— Nie podoba się, madame?

— Nie; jest silne... nie pozostawia żadnej furtki i nasuwa więzienie.

— Jesteśmy w więzieniu naszego życia i jesteśmy w więzieniu samych siebie — odrzekł spokojnie.

Spuściła oczy z napisu.

— Tak — rzekła, patrząc na niego jak ktoś, kto pyta o więcej.

— Więzienie! — rzekł Nigel z poza niej — nienawidzę tego wyrazu. Mylisz się, Barondi. Życie jest piękną wolnością, jeżeli zechcemy, żeby nią było, i możemy działać w niem stosownie do naszej wolnej woli. Nasze przeznaczenie nie jest zawieszone u naszej szyi, my tylko możemy je tam zawiesić.

— To wszystko nie należy do mojej wiary — odrzekł nieugięty Barondi. — Oto są kajuty dla służby.

Wprowadził ich do korytarza i wskazał małe drzwi na prawo i na lewo.

— A tutaj jest mój pokój, w którym pracuję i przygotowuję co mam do czynienia. Zdaje mi się, że wy, Anglicy, nazywacie to „den".

Otworzył drzwi w głębi korytarza i wprowadził ich do denu, który czynił wrażenie podwójnego pokoju, gdyż piękny parawan w środku, którego było przejście w kształcie łuku, dzielił go na dwie części. Po obu stronach tego łuku znajdowały się otomany, okryte haftami, a na nich spiętrzone poduszki. Dywaniki leżały na ziemi, dywaniki rozmaitych wzorów i barw, gdzie kolory zielony, żółty, fioletowy, różowy, czerwony i brązowy w różnych odcieniach doskonale harmonizowały z sobą, na których widać było wzory z drzewami, lampy z kwiatami, dziwne i konwencyonalne budynki z okrętami, łańcuchami, koszami owoców, wszystko to na pozór bezładnie powiązane, a jednak cała ta gmatwanina była pełna spokoju. Przy oknach były okiennice, które można było dowolnie otwierać i zamykać. Teraz były otwarte. Pod niemi były przymocowane półki z rzędami książek angielskich i francuskich; dużo było między niemi dzieł o rolnictwie, budownictwie, górnictwie, o przemyśle cukrowym i bawełnianym w rozmaitych częściach świata. Stało biurko z leki, na którem znajdowała się ruchoma elektryczna lampa bez abażura, pomiędzy rozrzuconemi papierami. Blisko niego stały: stolik do kawy i dwa głębokie fotele. Z sufitu malowanego na ciemno-czerwony kolor i niebieski, zwieszała się ciężka lampa, na srebrnym, pozłacanym łańcuchu. W jadalni, po drugiej stronie parawanu, stały pod ścianami otomany i duży stół z krzesłami o zaokrąglonych poręczach. Stół był przykryty cudownie haftowaną indyjską materyą, w której przeważał kolor pomarańczowy i czerwony, jaśniejący i gorejący jak ogień. Na środku stołu stał japoński wazon w złym guście, wart nie więcej jak pięć lub sześć szyllingów. Na ścianie wisiał szwajcarski zegar z kukułką.

Mrs. Armine w milczeniu rozglądała się dokoła, nie przepuszczając żadnego szczegółu. Zegar zazgrzytał, małe drzwiczki się otworzyły, kukułka się ukazała i dwie nuty, które są okrzykiem wiosny w Anglii, rozlegly się nad Nilem.

Poczem kukułka się schowała i drzwiczki się zatrzasnęły.

Mrs. Armine uśmiechnęła się.

— Pan to kupił? — zapytała.

— Tak, madame, wszystko, co tutaj się znajduje, jest przezemnie zakupione i urządzone podług mego skromnego gustu.

Otworzył drzwi i wprowadził swych gości do długiego korytarza z starannie wywoskowaną posadzką.

— Oto są sypialnie, Madame.

Otworzył drzwi, pokazując ładne, małe kajuty, umeblowane wdzięcznie w Paryżu, z łóżkami, firankami, długiemi lustrami, fotelikami, wszystko w białym, zielonym, różowym kolorze; ściany były przemalowane na „ivoire". Zawieszone delikatne firanki i portyery były w kwiaty, lecące ptaki. Całe urządzenie tualetowe było doskonałe i każdy pokój miał wgłębienie, gdzie stała emaliowana wanna.

— Tutaj jest moja sypialnia, madame — rzekł Barondi, wskazując na drzwi, których nie otworzył. — Największa na statku. A to mój pokój do samotnego siedzenia. Kiedy nie chcę, żeby mi przeszkadzali, kiedy palę „Keef", zażywam haszysz, albo też chcę odpoczać, zapomnieć o interesach i spokojnie dumać, zamykam się tutaj.

Naprzeciw nich, na końcu korytarza, zwieszała się pomarańczowego koloru zasłona, haftowana różnobarwnemi jedwabiami. Barondi podniósł ją, odsunął drzwi z ciemnego, prawie czarnego drzewa i rzekł:

— Proszę wejść pierwsza, madame.

Mrs. Armine weszła powoli, prawie ostrożnie.

Znalazła się w dużym salonie, zajmującym całą szerokość dahabijah. Koniec salonu miał kształt półksiężyca, pod baldachimem stały otomany, rozdzielone dwojgiem drzwi, teraz otwartych, prowadzących na balkon, który się wznosił nad Nilem i był osłonięty markizą. Sufit był podzielony na wskośne prostokąty czarne i złote, na których widniały krótkie napisy z Koranu. Przy wszystkich oknach były okiennice, obecnie zamknięte. Pod ścianami, na rzeźbionych półkach, stały rozmaite, nadzwyczaj pospolite przedmioty — tanie, jaskrawe wazony neapolitańskie i paryskie, jeszcze dwa szwajcarskie zegary z kukułkami, trzeci zegar z białej i niebieskiej porcelany, grająca szkatułka i dziwaczny potwór, rodzaj smoka z głową psa, z prostej, żółtej gliny. Nie było krzeseł w pokoju, chociaż kilka z nich stało na balkonie, lecz cały półokrągły koniec salonu był zapełniony szerokiemi otomanami. Środek podłogi zajmowało wgłębienie, wyłożone marmurem, napełnione ziemią, gdzie stały karłowate palmy i skąd biła mała fontanna, podrzucająca złoconą kulkę. Wspaniałe dywany zakrywały całą podłogę. Powietrze w pokoju było przesiąknięte słabym, lecz ciężkim zapachem perfum, które działały na zmysły prawie narkotycznie.

— Co za dziwny pokój! — rzekła Mrs. Armine.

Stała cicho przy drzwiach, po chwili postąpiła naprzód w towarzystwie idących za nią mężczyzn, przeszła obok fontanny i zatrzymała się u stóp baldachimu. Tam się odwróciła. Barondi zamknął drzwi po ich wejściu do pokoju i spuścił ciężką pomarańczową kotarę, którą dopiero teraz zobaczyła. Pomimo świetnego koloru i piękności materyi, kotara ta nie harmonizowała z resztą pokoju, z przyćmioną barwą cudownych haftów i dywanów, z ciemnem drzewem okiennic.

Tak jak tanie zegary i pospolite neapolitańskie i paryskie bibeloty, ustawione na wspaniałe rzeźbionych półkach, zdawała się świadczyć o pewnej dziecinności i złym guście, nainwnym w swej otwartości. Ta kotara, zegary i wazony, szkatułka grająca marsza, pozłacana kulka, podrzucana przez fontannę, okazywały w Barondi'm stronę zupełnie różną od tej, która wybierała te niezrównane dywany i hafty na otomanach. Niezwykły dobry gust, był u niego połączony z zamiłowaniem krzyczącej pospolitości.

Mrs. Armine życzyła sobie zobaczyć jego pokój sypialny.

— Pragnęłabym — zaczęła, i urwała.

— Co, madame? — rzekł Barondi.

— Czego chcesz, Ruby? — zapytał Nigel.

— Będziecie się śmiać ze mnie. Lecz chciałabym, żebyście obaj wyszli na balkon, zamknęli drzwi i pozostawili mnie tutaj na chwilę samą. Sądzę, że będę się czuła, jak gdybym się znajdowała w sercu wschodniego domu.

— W haremie, myślisz? — rzekł Nigel.

— To — może. Proszę, wyjdźcie.

Barondi uśmiechnął się, ukazując rząd ostrych zębów.

— Chodźmy, Mrs. Armine — rzekł.

Wyszedł na balkon wraz z Niglem i zasunął pierwsze drzwi.

— Pani rzeczywiście chce, żeby zasunąć i drugie? — zapytał Mrs. Armine. — Pani będzie w zupełnej ciemności.

— Proszę zamknąć — rzekła cichym głosem.

Zamknął więc i drugie drzwi, które się lekko zasunęły na światło słoneczne, zakrywając przed jej wzrokiem postacie obu mężczyzn. Barondi powiedział, że pozostanie w zupełnej ciemności. To nie było całkiem prawdziwe. Nie widziała jak i którędy, ale bardzo słabe wprawdzie światło wchodziło. Podeszła do otomany, ułożyła na niej poduszki i położyła się na niej ostrożnie, żeby nie uszkodzić kapelusza. Otomana była miękka i wygodna, pieściła jej ciało, jakby była żywą istotą i znała jej obecne życzenie. Z ramieniem, opartem o poduszki, leżała, zasłuchana w zupełnym spokoju.

Pomimo, że nie była kobietą o bardzo żywej i wybujałej wyobraźni, posiadała jednak pewną jej ilość i teraz puściła jej wodze, pozwalając igrać. Wyobraźnia zaprowadziła ją do oryentalnego domu, którego panem był człowiek Wschodu. Gdzie był ten dom? w jakim kraju? Nie wiedziała, ani się starała wiedzieć. W rzeczywistości mało ją to obchodziło — wschodnią kobietę, której życie upływało za kratą, gdyż wyobrażała siebie, kobietą Wschodu, podległą jego niezłomnym i nieuniknionym prawom i zwyczajom i była w haremie bogatego oryentalnego człowieka, do którego należała duszą i ciałem, i który ją uwielbiał, jak wschodni człowiek uwielbia kobietę, będącą jego kochanką i jego niewolnicą. Przez lata rządziła mężczyznami, którzy klęczeli u jej stóp. Żyła dlatego — dla rządzenia mężczyznami, przez swą piękność i mądre postępowanie. Teraz wyobrażała siebie już nie posiadającą, ale posiadaną: już nie rozkazującą, lecz całkowicie posłuszną. Co to byłoby za nowe wrażenie! Cała jej kapryśna kobiecość zdawała się ożywiać i drżeć na samą myśl o tem. Zamiast mieć niewolników, być samą niewolnicą!

Poruszyła się trochę na otomanie. Ciężka woń perfum, którą pokój był przesiąknięty, zdawała się pełzać koło niej, jakby chcąc nią zawładnąć. Słyszała lekki szmer fontanny, w której pozłacana kulka wznosiła się i opadała. To była także niewolnica — niewolnica w domu Barondi'ego. Zamknęła zwolna oczy, we wschodnim domu Barondi'ego.

Tutaj, gdzie ona leżała, leżał Barondi, palił „keef", zażywał haszysz i marzył. On. nie będzie nigdy niewolnikiem kobiety. Była tego pewną. Lecz mógł uczynić kobietę swą niewolnicą. Chwilami, jak na nią patrzał, miał oczy właściciela niewolników. Lecz mógł uwielbiać niewolnicę, okrutnem uwielbieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Każdy chyba przyznać musi, że niema to, jak informacye fachowe wprost z pierwszej ręki. Stwierdzają to informacye owego meteorologa krakowskiego, który kronikarza zapewnił, że nie jest bynajmniej wykluczone, nawet jeszcze w tym roku podniesienie się temperatury, choć upałów spodziewać się już nie należy, jak również i zbyt wielkiego rozgrzania się pieca, ze względu na brak węgla. I spełniły się słowa jego co do joty. Poprzednia kronika, w której znajdowała się wzmianka o tym wywiadzie przeistaczała się dopiero pod walcem maszyny drukarskiej, gdy nagle się ociepliło i mamy w samej rzeczy piękną polską jesień i to z tak niewielką, przynajmniej na razie, ilością błota, że Zakład czyszczenia miasta na nadmiar zajęcia narzekać nie potrzebuje.

Tę zmianę temperatury mamy zatem, według przekonania kronikarza, do zawdzięczenia jedynie przepowiedni owego fachowca. Jak wiadomo, są oni, gdy mówią *ex cathedra*, nieomylni, choćby nawet zabierali głos w sprawie, o której niemają pojęcia. Dlatego to n. p. historyk z równą łatwością może rozprawiać o skutkach polityki zagranicznej Ludwika XIV, jak i o... popisach choreograficznych naszego znakomitego baletmistrza, weterynarz zna się zaś na wszelkiego rodzaju sztukach, pięknych i nie pięknych, nie wyłączając najpiękniejszych z nich, sztuki mięsa.

Pod tym względem nieomylność czasem go zawodzi. Pewny jest, że dostanie na obiad sztukę mięsa z ogórkiem, przekonuje się z boleścią, że dziś post, gdyż służąca mięsa z miasta nie przyniosła.

Piękny dowód nieomylności dał zatem ów meteorolog. Jeszcze nie miał czasu skończyć wywodów, aura się już zmieniła, jak na zawołanie.

Dla kobiety niema nic świętego. Weronika w nieomylność fachowców nie wierzy i twierdzi stanowczo, że dlatego się ociepliło, ponieważ zliczyła dwunastu łysych, a to środek jedyny na „złamanie“ mrozu.

Kronikarz nie jest fachowcem w żadnym kierunku, na wszystkiem zna się potrochu, jest zatem i ostrożnym w wypowiadaziu swego zdania, co go przecież nie chroni od pomyłek, które zresztą są ludzką rzeczą. Ilekroć jaką popełni, przyznaje się do tego zupełnie szczerze i otwarcie i tem maże swą winę. To mu się zresztą rzadko przydarza, gdyż kronika tygodniowa jest z natury rzeczy raczej oglądaniem się wstecz poza siebie, nie zaś patrzeniem naprzód. Nie ma zatem sposobności do robienia zbyt daleko naprzód idących karkołomnych kombinacyi. Od tego są artykuły wstępne, zajmujące w piśmie naczelne miejsce, gdy natomiast jego pracy wyznaczono zaciszny kącik, niemal przy samym końcu numeru.

Nie patrząc też przed siebie, ale oglądając się poza siebie, widzi też tem łatwiej pomyłki innych, nieraz nawet fachowców, których zbyt daleko uniosła rozbujała nadmiernie fantazya.

Skonstatował też w ubiegłym tygodniu, że i nasz Rząd nie jest nieomylny. Wiadomo, że jest on wybitnie lewicowy, zabarwienie zaś główne dają mu ludowcy i socyaliści, gdybyśmy zatem chcieli go przedstawić w kolorach, musielibyśmy użyć barwy zielonej i czerwonej. Pierwsza z nich oznacza nadzieję, druga zapał, obie razem zmieszane dają kolor szary. I to jest właściwa jego barwa.

Rząd ten powołano do życia w chwili, gdy kraj znajdował się w bardzo poważnej sytuacyi. Z jednej strony groziło mu czerwone niebezpieczeństwo, z drugiej zawiodły nadzieje pomocy, jaką nam obiecywano w walce z bolszewikami. I już zdawało się, że wybiła dla nas ostatnia godzina, że podzielimy los owego biednego zająca, którego zjadły psy w oczach serdecznych przyjaciół. Ale stał się cud!... Naród polski przejrzał i ocknął się jeszcze na czas. Całe społeczeństwo stanęło do wspólnej pracy i dzięki temu udało się przepędzić daleko poza granice kraju nieproszonych gości, którzy na naszych śmieciach zaczęli już tak gospodarzyć jak u siebie w domu.

Dziś, gdy niebezpieczeństwo już minęło, obecny Rząd, a raczej stronnictwa, z których wyszedł, twierdzą wszem wobec, że one uratowały Polskę.

I tu leży właśnie ich pomyłka! Nie one uratowały kraj, ale uratował go cały naród wspólnemi siłami. A znalazł się w krytycznem położeniu głównie dzięki działalności obu tych stronnictw, które obecnemu Rządowi polskiemu dają zabarwienie.

Niechaj zatem tak ludowcy jak i socyaliści podzielą się zasługą z innemi także stronnictwami, które do ogólnej budowy dołożyły swą cegiełkę, nie szczędząc ofiar krwi i mienia, złożonych w tym czasie na ołtarzu Ojczyzny.

Nie znaczy to, jakobyśmy obecnemu Rządowi odmawiali zasług. Broń Boże!... Oddajemy zawsze każdemu, co się mu słusznie należy i dlatego w poprzednim numerze podnosiliśmy z uznaniem, że owe pięćset gęsi pomorskich, które zleciały do Krakowa, mamy do zawdzięczenia wyłącznie prezydentowi gabinetu Witosowi, który na Pomorze pojechał i przy sposobności gęsi zakupił. Moglibyśmy mieć chyba tylko o tyle urazę, że ich było mało, bo i cóż to jest pięćset gęsi na takie miasto, jak Kraków. Z drugiej jednak strony tłómaczymy sobie, że te gęsi były właściwie dla Warszawy przeznaczone, tak bowiem głosiły swojego czasu telegramy. Kraków powinien być zatem zadowolony, że mu bodaj coś kapło. Łatwo bardzo mógł nic nie dostać, gdyż warszawskie sfery robotnicze, które mniej czasu poświęcają pracy, a więcej bezrobociu, mają też i niezgorszy apetyt.

Henryk IV, król francuski, mawiał, że jest jego dążeniem, aby każdy Francuz mógł mieć na niedzielę kurę w garnku, prezydent Witos może powiedzieć śmiało, że tylko dzięki jemu mieli Warszawiacy gęsinę, Krakowiacy także, ale w tak skąpej ilości, że można nad nią przejść do porządku dziennego. Minister zdrowia publicznego i prywatnego może być zupełnie spokojny, że gęsiną pomorską zbyt nie obciążyliśmy sobie żołądków.

W każdym razie gęsi były i zasługi ich zakupienia nikt nie zaprzeczy.

Obecnemu Rządowi zapisujemy też na karcie plusów starania o wprowadzenie równowagi w budżecie państwowym przez stosowanie oszczędności w różnych kierunkach. Jedną z nich ma być redukcya etatu urzędniczego, zwłaszcza w ministerstwach, gdzie się namnożyło tylu dygnitarzy, iż jeden drugiemu przeszkadza przy pracy, wobec czego wszyscy nic nie robią. Trzydzieści procent z pośród sił biurowych ma się stać pastwą systemu oszczędnościowego. W biurach ministeryalnych panuje też dość ciężka atmosfera, a powodem jej wyczekiwanie, czy na pierwszy ogień pójdą dygnitarze z wykształceniem akademickiem, czy też domowem. Słuszność każe, aby zaczęto od tych pierwszych. Choć utracą posady, w świecie nie zginą, gdy natomiast tym drugim trudniej przyszłoby wynaleźć sobie jakieś równie popłatne a wygodne zajęcie. Rekrutują się oni zresztą przeważnie z pomiędzy „protegowanych“, ci zaś cieszą się zwykle nietykalnością.

Jak się zdaje, to najniższą rangą w warszawskich ministerstwach jest ranga szefa sekcyi, tak bowiem wynikałoby z przedstawienia się różnych ministeryalnych dostojników, odwiedzających nas od czasu do czasu. „Szef sekcyi“, lub „w randze szefa sekcyi“... słyszy się z ust każdego, ubolewając zarazem, że, jeśli będą normalnie postępować po szczeblach urzędowej drabiny, szczebli tych braknie, nim wysłużą swe lata. Rzecz prosta, że taki pan szef sekcyi nie jest od roboty, ale jedynie podpisywania „kawałków“, jeśli mu ich zaś do podpisu nie przedłożą, to nie jego wina i o próżniactwo winić go nie można. Każdy z nich ma chęci jak najlepsze, a dobre chęci to dziś grunt.

Niestety, pokazało się przecież, że za same dobre chęci płacić nie można, bo skarb państwowy tego nie wytrzyma i dlatego zapowiedziano ową redukcyę etatu urzędniczego, która tyle hałasu i przerażenia narobiła.

Czy jednak nie skończy się jedynie na pogróżce, to dopiero dalszy ciąg pokaże. Wybrać trzydzieści procent przeznaczonych na całopalenie, to znów nie tak łatwo, zwłaszcza, jeżeli wchodzi tu w grę i przemożna pani... protekcya, a znów o stronnictwach, stojących dziś u steru, musi się powiedzieć, że nie żałowały poparcia różnym miłym sobie osobom.

Zasługą Rządu w każdym razie, że chce w tym kierunku zaprowadzić oszczędności, rozchodzi się przecież o to, aby je przeprowadzono sprawiedliwie.

Samo przecież zmniejszenie etatu urzędniczego w poszczególnych ministerstwach, których funkcyonaryusze w braku innego zajęcia psują jedynie tak drogi dziś papier i atrament (a ich koleżanki nie mogą sobie dać rady z ortografią, lecz nie z powodu jej nieznajomości, ale z przyczyny wadliwej konstrukcyi maszyn!...), to mało. Trzeba jeszcze zwinąć cały szereg rozmaitych instytucyi, które niepotrzebnie obciążają budżet państwowy, a można się bez nich obejść. Do ich rzędu należą nawet dwa ministerstwa: zdrowia i kultury. Agendy pierwszego można bardzo łatwo przydzielić ministrowi spraw wewnętrznych, drugiego, panu od oświaty. Tak biurokratyczne państwo jak ś. p. Austrya, jakoś się bez nich obchodziło.

Raz powiada się, że Polska jest chłopską i chłopską musi pozostać, a w minutę potem zadaje się kłam własnym słowom, stwarzając nowe urzędy, nic z ową chłopskością nie mające wspólnego. Chłop nasz lubi załatwiać wszystko „od ręki“ i dlatego do rozmaitych urzędów bynajmniej nie ma zaufania.

Tych urzędów namnożyło się tyle, że i dziwić się nie można ministrowi skarbu, nie mogącemu znaleźć pokrycia na rosnące z każdym dniem wydatki i szukającemu wobec tego pokrycia na nie nieraz i ze szkodą ogółu. Cóż ma jednak począć, Koledzy powiedzieli, że taki urząd jest potrzebny, a rzeczą jest jego, aby znalazł odpowiednie kredyty. Naszem drzewem palą gdzieindziej, nasz cukier słodzi innym żywot doczesny, a nafta kopci także nie dla nas, nowe urzędy wyłażą zaś na światło dzienne, jak grzyby po deszczu. Gdyby bodaj funkcyonowały sprawnie, byłoby jeszcze pół biedy, ale one powstają jak gdyby tylko po to, aby wprowadzić do życia publicznego jeszcze większy nieład i nieporządek. Zyska na tem zwinięciu niektórych niepotrzebnych urzędów i ogół, któremu brak mieszkań daje się coraz bardziej we znaki. Niech tylko opróżni się jakieś mieszkanie, już się tam lokuje urząd, a jeżeli niema wolnego, to się musi znaleźć, aby urząd nie pozostał bez dachu nad głową, bez czego natomiast mogą się obejść zwykli śmiertelnicy.

Skoro mowa o mieszkaniach, należy zaznaczyć, że kamienicznicy dla obecnego Rządu żywią głęboką wdzięczność, gdyż stale popiera ich interesy. Nowa ustawa o podwyższeniu czynszów o sto procent w stosunku do lat przedwojennych, rozjaśniła ich oblicza. Nie tyle im się rozchodzi o ową podwyżkę, ani o zrównanie koron z markami, ile o te „dodatkowe opłaty za różne świadczenia“, na których sobie obiecują odbić te straty, jakie przez sześć lat wojny ponieśli. Każdy z nich zna się dobrze na podwójnej buchalteryi, obliczy więc wszystko bardzo skrupulatnie, jeżeli zaś ma jakieś braki pod tym względem, do stycznia ma się czas douczyć.

Nie opłaci się zatem być obecnie lokatorem, czynsz opłacającym, daleko natomiast praktyczniej znaleźć się w szeregach kamieniczników, co niestety, połączone jest z pewnemi trudnościami, natury technicznej. Trzeba być przedewszystkiem właścicielem realności, a, aby ją nabyć, musi się mieć pieniądze i to w wielkiej ilości. W miarę, jak waluta traci swą wartość, ceny realności idą w górę. Za ruderę, która przed wojną nadawała się jedynie do zburzenia, dziś trzeba zapłacić milion, a na to musi się go mieć, w przeciwnym razie... nie da rady!... A tu, jak na złość, zaraz pierwsza premiówka skrewiła!... Zamiast, aby milion wygrał ktoś potrzebujący, los przeznaczył go jakiemuś warszawskiemu bankowi, który ma tyle pieniędzy, że aż ich pożycza innym. I jest w tem sprawiedliwość?... Kto ma dużo, temu się jeszcze więcej pcha drzwiami i oknami, aby się spełniło, co powiada przysłowie, że „kto się urodził do torby, ten się kuferka nigdy nie dorobi!...“

Zawiodły kronikarza nadzieje, ale ich nie traci. Co się nie stało dziś, stać się może jutro. Ma przed sobą jeszcze dwadzieścia lat oczekiwania na zostanie milionerem, a przez ten czas pójdą znów w górę pieniądze, a spadną realności, będzie więc można za te pieniądze kupić coś ładniejszego i większego.

Czeka zatem i tem się pociesza, że w ciągu lat dwudziestu może przecież zdecyduje się kapryśna Fortuna spojrzeć w jego stronę.

Dałby Bóg, by się nie pomylił!

I druga wygrana nie przypadła kronikarzowi w udziale. Tym razem szczęśliwą była jakaś pani Babska z Warszawy, stanowiąca dziś przedmiot zazdrości wszystkich posiadaczy „milionówek“, o ile zaś jest niezamężną, westchnień wszystkich kawalerów, mających ochotę zakosztowania słodyczy małżeńskiego pożycia. A połączenie się dozgonnym węzłem z posiadaczką miliona bez żadnych potrąceń, daje gwarancyę, że w braku innych słodyczy, można sobie nawet pozwolić na sztuczne osłodzenie życia przy pomocy cukru.

Pięknie los zrządził, dając pierwszeństwo płci nadobnej, niechaj jednak nie zapomina i o brzydkiej, która jeszcze bardziej pieniędzy potrzebuje.

Spełniło się natomiast smutne przewidywanie kronikarza, że w dniu św. Marcina nie uraczy się gęsiną. Widział wprawdzie te sympatyczne okazy, słyszał wymowne ich gęganie, powonienie jego drażnił mile dolatujący z sąsiadującej kuchni pewnego milionera delikatny zapaszek pieczonego ciałka gęsiego, ale, niestety, na tem się skończyło. Magistrat, sprzedając gęsi w dniu 29. października, uczynił to, jak gdyby naumyślnie, aby proletaryat inteligencyi nie przyzwyczajał się do zbytków. Bo i któż przy końcu miesiąca może sobie pozwolić na podobny wydatek?... Chyba paskarz, kamienicznik lub szczęśliwiec, który wygrał milion na premiówkę.

To gorsze, że magistrackie gęsi nie dotrzymały do dnia św. Marcina, ale przedtem jeszcze zniknęły w przepaścistych żołądkach głodnych Krakowian. Zjedzono je z rozpaczy, że, o ile były chude, do tego czasu się nie upasą, lub z obawy, aby tłuste tymczasem nie schudły. O łakomstwo nie można zatem winić Krakowian, raczej należy chwalić ich rozważne postępowanie, nawet w tak błahej na pozór sprawie.

Druga rocznica oswobodzenia w Zagórzu.

Kresowe miasteczko Zagórz, a względnie osada kolejarska, w środowisku prawie samych Ukraińców, stoi bardzo wysoko pod względem narodowym. Podczas całej wojny światowej Zagórz pracował nadzwyczajnie. Głową całego ruchu narodowego był inwalida austryacki, kapitan Antoni Kurka. — Swoją nadzwyczajną umiejętnością organizatorską



Druga rocznica oswobodzenia w Zagórzu: Kapitan Antoni Kurka, zasłużony organizator i dowódca w walkach listopadowych 1918.

potrafił nietylko najbliższą okolicę, ale też i sąsiednie powiaty zjednać i zorganizować do dobrze przez niego przewidzianej akcyi przewrotowej, tak, że 1. listopada 1918 wyprzedził zamach ukraińskiego pułkownika Maksymowicza, ówczesnego dowódcy 54 p. p. austr. i komendanta garnizonu Sanok, aresztuje tegoż przy raporcie pułkowym w Sanoku i jako znany i ceniony organizator, zostaje mianowany przez Naczelną Komendę W. P. komendantem powiatu sanockiego. Miał on pod ręką zorganizowanych przez się 80 ludzi cywilnych bez broni, rozbraja 54 p. p., tworzy III baon strzelców sanockich i tymi ludźmi obsadza San i okolicę. Stacza z posuwającymi się Ukraińcami zwycięskie walki pod Zahużem, Ustrzykami, Komańczą, Łupkowem, Cisną itd. i utrzymuje silną ręką nad linią kolejową Chyrów-Zagórz-Łupków, sam ze stworzonem przez siebie wojskiem polskiem. Dopiero w grudniu przychodzi odsiecz pułkownika Swobody, a później brygadyera Minkiewicza. Wywiązawszy się dzielnie ze swego zadania, udaje się do Lwowa, jako dowódca odcinka Persenkówka, gdzie zostaje ranny podczas wypadu.

Zaznaczyć należy, że kapitan Kurka był właśnie tym, który stworzył łańcuch ze Stryja do Jasła i transportował Legionistów ucikinierów, przebierając tychże za kolejarzy lub dostarczając im odnośnych legitymacyj.

Drugą rocznicę oswobodzenia obchodził Zagórz bardzo uroczyście w dniu 7 listopada b. r.

Celem upamiętnienia morderczych walk, jakie tutaj stoczono, utworzono honorową odznakę „Krzyż zasługi obrońców węzła zagórskiego" i w dniu tym wręczono je uroczyście ochotnikom.

Z rozkazu D. O. G. Kraków wydelegowała komenda kompanię honorową z muzyką.

Po mszy udał się pochód na grób poległych, na których po stosownej przemowie złożono krzyże zasługi, chcąc w ten sposób uczcić pamięć bohaterów.

W Sokole przemawiał kapitan Kurka do swoich towarzyszy walk listopadowych. Łzy płynęły bohaterom na wspomnienie dni krwawych i minionych. Wzruszającą była chwila, gdy dawny wódz dekorował swoich podkomendnych, przeważnie kolejarzy ochotników, widać było ojca z synem obok jednakim krzyżem zasługi odznaczonym. Kolejarze zagórscy zapisali się złotemi literami w karcie dziejów Polski.

Po dekoracyi wzniósł komendant Kurka okrzyk na cześć Naczelnika Państwa, muzyka odegrała hymn, a wojsko prezentowało broń.

Wieczorem odbyło się w „Sokole" miejscowym przedstawienie amatorskie i zebranie towarzyskie.



Druga rocznica oswobodzenia w Zagórzu: Krzyż zasługi węzła zagórskiego, przeznaczony dla uczestników walk z r. 1918.

Pożegnanie sędziego i kierownika kancelaryi.

I sędzia, nawet śledczy, a do tego wojskowy może się cieszyć uznaniem i sympatyą ogółu, jeśli obowiązki swe spełnia w myśl przepisów i po obywatelsku. O dawnych, austryackich sędziach wojskowych tego, niestety, nie można było zbyt często powiedzieć, tam bowiem zasady sprawiedliwości zastępował niejednokrotnie „rozkaz z góry", któremu, ze względu na subordynacyę, sprzeciwić się nikt nie śmiał. Jeżeli do tego sędzia wojskowy był Polakiem, musiał milczeć, aby go nie uznano zdrajcą stanu i buntownikiem.

Te stosunki, Bogu dzięki, należą już do przeszłości, młode sądownictwo wojskowe polskie, aczkolwiek na podstawie austryackich paragrafów, funkcyonuje zupełnie normalnie, zyskując sobie coraz więcej uznania i naprawiając złą reputacyę, ciążącą na niem z czasów poprzednich.

Dowodem tego, jaką sympatyę może sobie zdobyć nietylko w sferach wojskowych, ale i wśród cywilnej publiczności, sędzia wojskowy i to, powtarzamy, nawet śledczy, jest pożegnanie ustępującego z Wadowic na inne stanowisko, porucznika Korpusu sędziowskiego, dra Gabryela Tadeusza Hennera.

W Wadowicach urzędował tylko przez kilka miesięcy; przez ten czas potrafił przecież zdobyć sobie i uznanie władz przełożonych, co zaś ważniejsze, ogólną sympatyę i życzliwość. Choć młody wiekiem, na trudnem stanowisku eksponowanego sędziego śledczego rozwinął dr. Henner nader skuteczną działalność, dając się poznać, jako rutynowany prawnik, gorliwy i sumienny urzędnik, a zarazem obywatel. Odjazd dra Hennera na miejsce innego przeznaczenia spotkał się też z ogólnym żalem, tak w sferach wojskowych, jak i wśród ogółu mieszkańców Wadowic, którzy potrafili poznać i należycie ocenić zalety jego serca i charakteru.

Równocześnie ustąpił także z kierownictwa manipulacyi kancelaryjnej przy biurze sędziego śledczego, sierżant Michał Adam Mecnarowski, starszy oficyał kancelaryjny tamtejszego sądu okręgowego. Początkowo austryacki ochotnik 56 p. p., przeszedł następnie do 12 pułku polskiego, a jako siła fachowa, przydzielony do biura sędziego śledczego, jako urzędnik kancelaryi, trudne swe obowiązki spełniał z całem poświęceniem się, rutyną i sumiennością. Obecnie, w myśl ustawy demobilizacyjnej, przechodzi z powrotem do stanu cywilnego, pozostawiając po sobie jak najlepsze wspomnienie w kołach wojskowych, które też nie szczędziły mu dowodów uznania.

Pożegnanie pp. dra Hennera i Mecnarowskiego miało charakter bardzo serdeczny, czego dowodem choćby wyjątek z rozkazu dziennego dla załogi wadowickiej, poświęcony działalności ustępujących.



Pożegnanie sędziego i kierownika kancelaryi: Porucznik K. S. Dr. Gabryel Henner, wojskowy sędzia śledczy w Wadowicach, oraz sierżant ochotnik M. Mecnarowski, naczelnik kancelaryi w otoczeniu dotychczasowych swych współpracowników.

Z naszego wschodniego frontu.

Od trzech tygodni ucichł grzmot dział na froncie wschodnim. Rozejm, zawarty w Rydze, wszedł w życie, ustalono preliminarya pokojowe, sprawa zawarcia definitywnego pokoju zdaje się być na dobrej drodze. Gdybyśmy mieli tam do czynienia z innym przeciwnikiem, nie z rządem sowieckim, konflikt polsko-rosyjski możnaby uważać za załatwiony. W danym wypadku musi się być przecież przygotowanym na różnego rodzaju niespodzianki i nie spuszczać z oka grożącego każdej chwili z tej strony niebezpieczeństwa. Chwilowego spokoju na swym zachodnim froncie potrzebowała bolszewia, aby się tymczasem załatwić z innymi nieprzyjaciółmi, a gdy się jej to uda, nie jest bynajmniej wykluczone, że znajdzie powód do zerwania zawartych układów, których już tyle pogwałciła.

Jak doniosły telegramy, Wielki Sowiet, obradujący w ubiegłym tygodniu w Moskwie, nie przyjął do wiadomości zatwierdzającej wyniku ryskich pertraktacyj, może to więc stać się łatwo początkiem dalszego ciągu krwawych zapasów, które na chwilę ucichły.

Choć więc rokowania w Rydze podejmuje się na nowo, wschodni nasz front musi istnieć w całej swej



Z naszego wschodniego frontu: 3 pułk Legionów ścigający nieprzyjaciela, przeprawia się przez Niemen pod Zboiskami w dniu 6 października b. r.

rozciągłości i sile. Cisza, jaka tu dziś panuje, może być bardzo łatwo zwiastunką zbliżającej się burzy.

W dziejach polskiego oręża mordercze zapasy nad Niemnem, Dnieprem, Dźwiną i Berezyną zajęły bardzo poważne miejsce, przysparzając laurów, zdobiących nasze sztandary. Żołnierz nasz, tak regularny, jak i ochotnik, złożył tu dowody męstwa i bezgranicznej miłości ojczyzny, walcząc, nieraz w bardzo ciężkich dla siebie warunkach z przeważającemi siłami nieprzyjaciela. Czytając i słysząc sprawozdania z przebiegu walk na tym froncie, nieraz poprostu i wierzyć się nie chce, że pogrom bolszewików był dziełem młodego, polskiego żołnierza, u którego doświadczenie wojenne zastępował zapał i wiara, że walczy za świętą sprawę. Znajdzie się też zapewne kiedyś pióro, które ku wiecznej pamięci skreśli dzieje tych prawdziwie tytanicznych zapasów, jakie się tu rozegrały. Na razie zadowolić się musimy fragmentami, dochodzącymi dość skąpo do wiadomości ogółu, a stwierdzającymi, że każdy żołnierz polski, walczący na wschodnich kresach, to bohater, godny stanąć w jednym rzędzie z swymi dziadami i pradziadami, którzy krwią swoją znaczyli pochód wojsk napoleońskich na Wschód.

Z krwi tej, przelanej na tej ziemi, wyrosło pokolenie mścicieli, strzegących pilnie granic Ojczyzny przed najazdami odwiecznego a zdradzieckiego wroga. Wychowani na ideałach Mickiewiczowskich, choć wiekiem młodzi, mogą się śmiało porwać na zduszenie czerwonego centaura. Za sobą mają już świetną przeszłość, przed nimi może się rychło otworzyć pole do nowych popisów.

Z niedawno stoczonych zwycięskich walk na tym terenie podajemy w niniejszym numerze illustracye, przedstawiające pościg naszej armii za uchodzącemi w popłochu hordami czerwonej dziczy. Jedna z nich, to moment z przeprawy 3 pułku Legionów przez Niemen w dniu 2 października b. r. pod Sielcem, druga zaś w dniu 6 października pod Zboiskami.

Francusko-polskie braterstwo broni.

Dobrze zrozumiany własny interes każe Francyi widzieć w Polsce swego sprzymierzeńca. Istnieje też silny i ścisły kontakt między obu temi państwami, a dowodem tego pobyt stałej misyi militarnej francuskiej w Polsce, jakoteż udzielenie nam



Z naszego wschodniego frontu: Nasze wojska w pościgu za uchodzącym nieprzyjacielem przekraczają Niemen pod Sielcem w dniu 2 października b. r.

czynnej pomocy w czasie niedawno grożącego od Wschodu niebezpieczeństwa. Pomoc ta ograniczyła się wprawdzie tylko na wysłaniu pewnej liczby oficerów i zaopatrzeniu nas w materyał wojenny, w każdym razie stwierdziła, że oba kraje wiąże wspólność interesów, co zaznaczyła niejednokrotnie prasa francuska. Jenerał Henrys, dotychczasowy szef sztabu misyi militarnej francuskiej w Polsce i jen. Weygand i liczni oficerowie francuscy oddali Polsce, zwłaszcza w czasie ostatniej inwazyi bolszewickiej, bardzo wielkie usługi, uznane z wdzięcznością przez nasze czynniki kierujące i całe polskie społeczeństwo.

Ze strony oficyalnej polskiej stwierdzono już niejednokrotnie, że istnieją silne węzły braterstwa między armią polską i francuską. Sposobność do tego dał niedawno odjazd jenerała Weyganda, ostatnio zaś dekoracya orderem *„Virtuti militari“* jen. Henrysa, powołanego na inne stanowisko w swej ojczyźnie, oraz oficerów francuskich, którzy brali udział w naszych walkach pod Warszawą i nad Niemnem i położyli tam dla naszego kraju niemałe zasługi.

Uroczyste wręczenie odznak orderowych przez Naczelnika Państwa marszałka Piłsudskiego, odbyło się w Belwederze, w dniu 11. października b. r.

Dekorowani zostali jen. Henrys, jen. Billote, jen. Durant, pułk. Happe, pułk. Loir, pułk. Eyrand, pułk. Faury i kap. Mazerat. Uroczystość odbyła się w obecności Naczelnika Państwa, posła francuskiego w Warszawie p. Panafieu i ministra spraw zagranicznych Sapiehy.

Naczelnik Państwa zwrócił się do oficerów francuskich z przemową, przypominając, że kiedy Napoleon z ogromną armią przechodził przez Polskę, znajdowało się w jego wojskach kilku oficerów, na których piersiach błyszczały skromne krzyże „Virtuti militari“. „Jestem szczęśliwy — mówił Naczelnik — że po stu latach danem mi jest odnowić tradycyę braterstwa Francyi i Polski i mogę odznaczyć dzielnych oficerów francuskich, którzy się szczególnie odznaczyli w walkach“. Muzyka odegrała hymn polski i Marsyliankę, a kompania honorowa przedefilowała przed Naczelnikiem Państwa i odznaczonymi oficerami. Wieczorem odbył się w Belwederze obiad, podczas którego Naczelnik Państwa toastował na cześć Francyi i jen. Henrysa.

W odpowiedzi jen. Henrys wygłosił następujące przemówienie:

„Panie Naczelniku Państwa! Proszę mi pozwolić podziękować w imieniu oficerów francuskich, których Pan łaskawie zaprosił do swego stołu, za wielki zaszczyt, jaki nas spotkał przez otrzymanie z ręki Pana krzyżów „Virtuti militari“.

Będzie on dla nas drogą pamiątką wielkich chwil, które przeżyliśmy niedawno u boku sławnej armii polskiej. Zapamiętamy również słowa Pańskie, wiążące nas z tak Panu drogiemi tradycyami napoleońskiemi. Czyż po roku 1807 nie widnieją na listach kawalerów orderu „Virtuti militari“ nazwiska oficerów francuskich obok nazwisk oficerów polskich. Nazwisko Davout obok Poniatowskiego zacieśniają jeszcze mocniej nierozerwalne węzły przyjaźni, łączącej obie nasze armie.

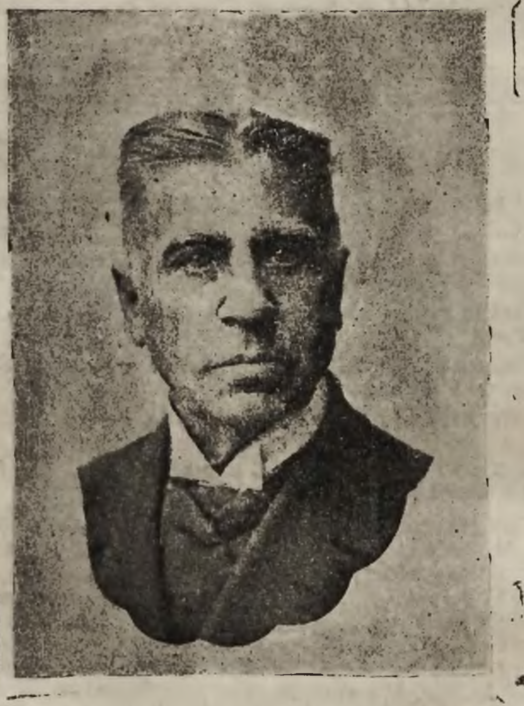
Opuszczam armię polską w chwili jej pełnego powodzenia i sławy. Od roku śledzę wszystkie jej postępy, wszystkie wysiłki tej borykającej się z trudnościami wszelkiego rodzaju, zaopatrzonej w niedostateczne środki armii, która tworzyła się i organizowała wśród walki, a mimo wszystko doszła do zwycięstwa.

Obecnie otwiera się dla niej nowa faza, potrze-



Francusko-polskie braterstwo broni: Uroczyste wręczenie krzyżów „Virtuti militari“ oficerom francuskim na dziedzińcu w Belwederze w dniu 11 października b. r.

przez silne i trwałe podstawy organizacyę, która dotychczas była tylko tymczasową. W tem zadaniu, wymagającem dłuższego czasu, może Pan liczyć na całkowity udział oficerów misyi francuskiej w Polsce. Z daleka, jak i z bliska będę śledził z największem zainteresowaniem postępy armii polskiej i z największą sympatyą. Jestem pewny, że ta armia stanie się tem silnem jądrem, dokoła którego Polska Zjednoczona [s]tanie się narodem mocnym i potężnym



Artysta-jubilat: Ludwik Wierzbicki, artysta operowy, którego złote gody ze sceną obchodził Kraków w ubiegłym tygodniu.

jakim ją rzeczywiście widzieć pragniemy. Wznoszę swój kielich na cześć Pańską, Panie Naczelniku Państwa, na cześć armii polskiej i na cześć narodu polskiego".

Artysta jubilat.

Sfery teatralne Krakowa uczciły pięknym koleżeńskim obchodem w dniu 6 bm. pięćdziesięciolecie pracy na scenie Ludwika Wierzbickiego, artysty operowego, którego działalność w teatrach operowych Petersburga, Odessy, Moskwy, Hamburga, Warszawy, Frankfurtu i Medyolanu przed laty elektryzowała tłumy. Wierzbicki był śpiewakiem fenomenalnym o skali głosu niesłychanie rozległej, śpiewał bowiem tenorem, barytonem i basem. Przez lat blisko 30 objeżdżał on świat, zbierając wszędzie laury, złoto i oklaski. Dziś, gdy burza wojny zagnała go z powrotem do ojczyzny, a głos stracił swe walory, Wierzbicki pracuje jako artysta w dramacie kolejno w teatrze powszechnym, a obecnie w „Bagateli", otaczany uznaniem i sympatyą.

Ludwik Wierzbicki urodził się w r. 1852, liczy zatem obecnie 68 lat. Sztuki aktorskiej uczył się jeszcze u Chęcińskiego, a śpiewu u Sterlinga.

W wieczorze jubileuszowym, którym dyrekcya „Bagateli" uczciła w dniu 6 bm. rzadki w historyi teatru półwiekowy jubileusz pracy artysty, wzięli udział koledzy ze wszystkich czterech teatrów krakowskich. Program wieczoru przyniósł obfitą wiązankę popisów wokalnych, deklamacyjnych, dramatycznych (dwie jednoaktówki), które złożyły się na bardzo interesującą i rozrzewniającą owacyę na cześć jubilata Wierzbickiego. Wręczono mu ze sceny wśród grzmiących oklasków za aryę Torreadora, liczne upominki.

Swiatowy mistrz w sztuce boksowania.

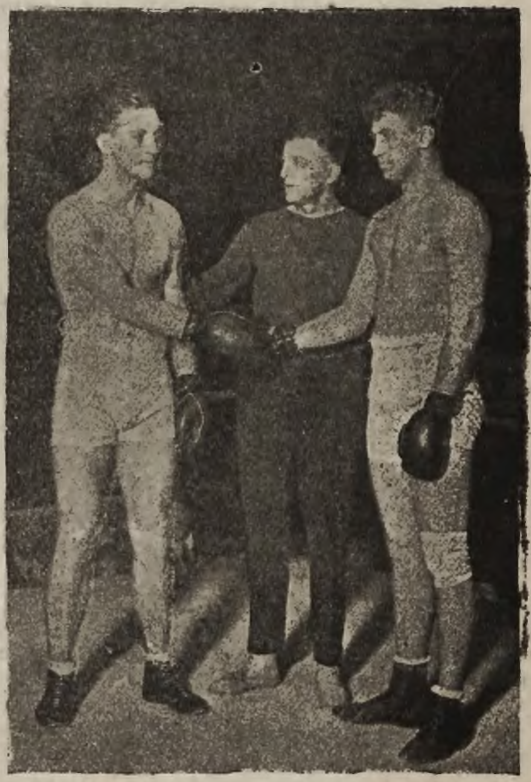
W miarę posuwania się ku Zachodowi, rośnie też i zamiłowanie do wszelkiego rodzaju sportów, osiągając punkt kulminacyjny w krajach, zamieszkałych przez rasę anglo-saską t. j. w Anglii i Ameryce. Dowody tego mieliśmy nawet w czasie wojny. Żołnierze angielscy nie zapomnieli w swych obozach o urządzeniu placów tennisowych, do gry w piłkę nożną i t. d. Praktyczni Anglicy i Amerykanie, chcąc na wszystkiem zrobić dobry interes, łączą też i przy tej sposobności przyjemne z pożytecznem, idąc o zakłady nieraz bardzo wysokie. Pamiętną była przed laty afera Cyganiewicza w Ameryce, któremu tamtejsza Polonia zarzuciła zdradę narodową, twierdząc, że dał się dobrowolnie pobić przeciwnikom, gdy oni go wysoko obstawili.

Sport w tych krajach popłaca bardzo, a mistrze w różnych jego gałęziach dorabiają się nieraz i milionów.

Do najpopularniejszych sportów w Anglii i Ameryce należy sztuka boksowania, czyli walka na pięści, aż do zupełnego ubezwładnienia przeciwnika. U nas, jest ona mało znaną, a próby przeniesienia jej na nasz grunt, spotkały się z niepowodzeniem. Patrząc na zmagających się ze sobą bokserów, odnosi się bardzo przykre wrażenie, znęcanie się szczęśliwego zwycięzcy nad pokonaną ofiarą, przypłacającą zapasy niejednokrotnie ciężkiem kalectwem.

Mistrzem światowym w sztuce boksowania jest jednak nie Anglik, ani Amerykanin, ale Francuz, Jerzy Carpentier, zdobywca na tem polu championatu światowego. W ubiegłym miesiącu potykał on się w New Jersey z zapaśnikiem o równie świato[we]j sławie, Lewińskim, i odniósł sześćdziesiąte ósme zwycięstwo.

Carpentier to duma narodowa Francyi, a zarazem ideał i cichy przedmiot westchnień Francuzek, od czternastoletniego podlotka począwszy, na osiwiałej kandydatce do stanu małżeńskiego skończywszy. Siła pięści i pewność uderzeń wywiera taki wpływ na przedstawicielski płci słabej. Każda z nich byłaby szczęśliwą, gdyby ją ugodził w serce, zdobi go bowiem nie tylko młodość i siła, ale jest także



Światowy mistrz w sztuce boksowania: Jerzy Carpentier z Lewińskim przed rozstrzygnięciem walki w New Jersey.

przystojny i bogaty, a miliony swe ma do zawdzięczenia, w ścisłem tego słowa znaczeniu, pracy swych rąk, a raczej pięści.

Angielscy i amerykańscy mistrze boksu nie mogą tego strawić, iż championat światowy wydarł im z rąk „delikatny" Francuz...

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki Nowości p. t.

„Józia — legionistką".

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie beletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, tudaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miłości z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru. Wydawnictwo „Biblioteka Nowości" ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistką". Autorem tej noweli jest p. Adam Wzaryga-Miniewski, którego cykl powieści „Miłość i wojna", drukowany w *Nowościach Illustrowanych*, tak wielkie wzbudził zainteresowanie, a „Józia — legionistką" opowiada o dalszych losach sympatycznej bohaterki „Wojennego małżeństwa".

Cena egzempl. 20 mrk., z przes. poczt. 22 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych", Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył J. Stępień, Brody.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę miejscowości na Wołyniu:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –

Znaczenie wyrazów: 1. Zjawisko natury, 2. Okres czasu, 3. Wyżyna w Azyi, 4. Duchowny mahometański, 5. Sprzęt domowy, 6. Jeden z żywiołów

Kryształówka.

Ułożył W. Zawadzki, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko zaciekłego wroga bolszewików:

■
– ■ –
– – ■ – –
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
– – ■ – –
– ■ –
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Okres czasu, 3. Część budynku, 4. Szukany wyraz, 5 Ptak domowy, 6. Zwierzę drapieżne, 7. Spółgłoska.

Trójkąt magiczny.

Ułożył M. Kotowicz, Sambor.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko amerykańskiego męża stanu:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – – – –
■ – – – – –
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Wielki plac w mieście, 4. Warsztaty okrętowe, 5. Dopływ Dunaju, 6. Skrócenie, gdy się nie zna czyjego nazwiska, 7. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył A. Woliński, Kalisz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego bohatera narodowego:

■
– ■ –
– – ■ – –
– ■ –
■
– ■ –
– – ■ – –
– ■ –
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w południowej Rosyi, 3. Miejscowość w Galicyi środkowej, 4. Wykrzyknik, 5. Samogłoska, 6. Zwierzę ssące, 7. Polski pamiętnikarz, 8. Miasto w Rosyi, 9. Część ciała, 10. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył W. W, Tarnów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną literę i złożyć z nich powód sporów w naszym Sejmie:

Rosa, Men, Londyn, Andy, Kato.

Przysłowiówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -i---o--e-c---ie,-o-ao--y-y-e.
2) -o--a--u-u--a.

REBUS.



Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Kuczyński, Lwów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, f,
g, g, i, i,
i, l, l, o,
r, r, s, s.

Znaczenie wyrazów: 1. Poemat Klonowicza, 2. Inaczej związek, 3. Imię starosłowiańskie, 4. Postać biblijna.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) „Album Legionów polskich", 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 45

Trójkąt magiczny: Zaduszki, Ameryka, Dzików, ukrop Soła, Zan, ku, i.

Rebus: Kto nie wypełnia zobowiązania, do nagrody nie powinien mieć pretensyi.

Zadanie na rozsypane litery: Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą.

Grzebieniówka: Zola, a, cela, h, Azya, r, yard, a, Sola i, Ezaw, w, Iran, c, zeta.

Bilety wizytowe: Mickiewicz, Słowacki, Zaleski, Bałucki, Anczyc.

Zadanie do uzupełnienia: Bar, rak, oda, Don, Zan, iwa, Noe, szi, kos, Iwo.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: O. Kisielewska Warszawa, M. Jasińska Lwów, J. Rogoziński Biała, M. Ogibińska Lwów, M. Kamieniecki Zakopane, S. Kaczorowski Kraków, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J Martynowicz Kielce, S. Cichocki Warszawa, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów. K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Kaczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, M. Lewińska Stanisławów, W. Witowska Warszawa, M. Kuczyńska Kraków, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Miłówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, K. Bereźnicki Stanisławów J. Nowakowski Sandomierz, K. Madejski Płock, S. Sygnarsk Rzeszów, M. Gross Tarnów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) O. Kisielewska Warszawa (książka), 2) M. Gross Tarnów (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 2 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.